

Czekalski Paweł

Miasto Plakat

Mały spokojnym krokiem przechadzał się po ulicach pustego już Miasta. Starał się nie myśleć o niczym, o kłopotach które stały się tak oczywiste, że prawie nie czuł, że są. Zżył się z nimi jak tramwaje, które nie istniały już bez Miasta. Uśmiechnął się, a potem zaśmiał cicho. Przypomnił sobie o takim jednym, który próbował wyjechać z Miasta. "Marzyciel" -pomyślał Mały. Pisano o tym w gazetach, trąbiono w telewizji. To, co ten tramwaj zobaczył poza Miastem stało się dla niego obłędem. Skonał cicho żaląc się na swoją głupotę, wspominając czasy, gdy rozwoził Insekty po częściach Miasta. Gdy jego koła wkrystalizowały w szyny od długiego stania w miejscu, Miasto odrzuciło go.

Mały czasami miał takie wrażenie, że jest do niego podobny, ale nie myślał za bardzo o tym. Za dużo miał do stracenia. Rozejrzył się. Ciemna ulica tonęła w listopadowym mroku, a siatka wyznaczająca strefę Prawieludzi zdawała się nie mieć końca. Może nawet nie miała ? Przy trzecim znaku nakazu skrętu w prawo skręcił i oddalił się od ogrodzenia. Takich znaków było jeszcze dziesięć. Ta ostrożność była potrzebna. Miasto nie mogło ostrzegać przez megafony o nakazie skrętu, bo przy ogrodzeniu było to wzbronione. Podobno najmniejszy hałas szkodził Prawieludziom, jak zresztą większość rzeczy, które można robić. Spanie, jedzenie, picie, chodzenie, myślenie i tysiące innych czynności. "Ciekawe, jak oni się rozmnażają -pomyślał Mały. - Pewnie miłość też im szkodzi." Przypomnił sobie głośną swego czasu historię o pewnym Obywatelu, który nie wiadomo dla czego zlekceważył znaki. Co się zdarzyło później tego nikt nie wiedział, nawet Miasto, więc nie należało o tym myśleć. To było proste, Miasto rządzące po stronie Insektów i Prawieludzi, wiedziało wszystko, więc to, czego nie wiedziało, tego Nie Było.

Mały mijał teraz opuszczoną fabrykę liter, która po trzydziestoleciu istnienia ogłosiła upadłość. I tak długo się trzymała. Rzadko która fabryka wytrzymywała tyle, a z zapasów akurat tej Miasto nadal konstruowało Plakaty, Odezwy i Gazety. Tyle było tych zapasów że powinno starczyć jeszcze na długo. Insekt stał i patrzył na ceglanego trupa, który sprawiał wrażenie jakby istniał tylko po to, by być ruiną.

W bladym świetle latarni wszystko wydało się Małemu nagle takie smutne, szara pusta ulica, wybite szyby, pomięte gazety walające się pod ceglanym murem. Odchody Miasta. Świat nagle wydał się mu ogromny i pusty.

Westchnął i usiadł na krawężniku. Rozejrzył się wokół, a gdy upewnił się że nikogo nie ma w pobliżu, zapalił papierosa. Smętnie zwiesił głowę i spostrzegł, że siedzi nad kanałem. Splunął kilka razy i spojrzał w górę. Nagle zrobiło mu się gorąco z wrażenia. "To niemożliwe, dlaczego, przecież ..." - myśli zaczęły mu bezładnie krążyć w głowie. Z ręki wypadł mu papieros, a on sam nawet nie usłyszał dziwnego hałasu w kanałach. Całą jego uwagę pochłaniał Plakat.

BEZDOMNY

Leżał w swej karoserii porzuconego auta. Tylne siedzenie było dość wygodne jeżeli leżało się ze zgiętymi kolanami i nie wierciło się zbyt w nocy.

Powierzchnia tapicerki była pocerowana w różnych miejscach, bo to był bardzo porządny Bezdomny. Siedzenie obok kierowcy było tak zniszczone, że Bezdomny zrobił z niego wcale zgrabny stoliczek, przy którym spożywał swoje posiłki.

Ostatnio były one dość obfite, bo pod koniec ostatniego Momentu sprzedał swoje

imię, a że pochodził z bardzo dobrej rodziny (jego pradziad miał wuja Prawieludzia), uzyskał za nie dość sporą sumę. Co prawda utracił prawo stałego zameldowania, ale tak przyzwyczał się do swego samochodu, że nie wyobrażał sobie, że może mieszkać gdzie indziej. Pokochał swój dom. Okna miał na każdą stronę ulicy. Raz w tygodniu szorował jedyną szybę, która znajdowała się obok miejsca dla kierowcy. W resztkach lusterka widział co znajduje się za nim, więc to siedzenie uważał za najbardziej bezpieczne miejsce w swoim domu. W tylnym bagażniku zrobił sobie spiżarnię. Nie znajdowało się tam nic nielegalnego, co w razie kontroli strażników naraziło by go na wysiedlenie. Był tam więc spory zapas wody, karton sztucznego mchu, trochę papierosów oraz przede wszystkim spore zapasy chleba. To było wszystko. Za to druga część zapasów ukryta była pod płytą chodnikową znajdującą się pod tylnym siedzeniem. Tam dopiero były skarby ! Naturalny mech kupowany w znajomych i pewnych melinach, papierosy oraz zamknięte w stalowej skrzynce tabletki D, dzięki którym mógł podróżować gdzie tylko chciał. W tych żółtych tabletkach była wolność, której nawet Miasto nie było mu w stanie zabrać.

Właśnie pomyślał, że warto było by gdzieś pójść. Przeżuwał więc wolno sztuczny mech zagryzając chlebem i popijając wodą. Krzywił się z obrzydzeniem, a gdy już nie mógł wytrzymać, dyskretnie zagryzał przepyszny wilgotny mech. Wolno przeżywając obserwował ulicę przez przednie okno. Było ciemno i cicho. W mieście dzień trwał zwykle dwie, trzy godziny niezależnie od pory roku. Terminy ustalało oczywiście Miasto według znanej tylko sobie prawidłowości. Bezdomny obserwował na wprost zrujnowane budynki zamieszkiwane przez jemu podobnych Insektów, gruz leżący stertami na ulicy i latarnie, jedyne źródło światła.

Po skończonym posiłku uprzątnął stół, schował resztki jedzenia do bagażnika i ostrożnie podniósł tylne siedzenie. Odchylił płytę i wyciągnął ze schowka jedną tabletkę D i przy okazji dwa papierosy. Starannie zamaskował skrytkę i wygodnie usiadł. Połknął pigułkę i zapalił. Upewnił się jeszcze czy ma pod kurtką swoje osobiste niebieskie pudełko dwa-na-jeden-na-dwa i przymknął oczy. Miał tylko marzenia, wspomnienia nie były mu potrzebne. Zajmowały tylko miejsce w pudełku. Gdy sprzedał swoje imię, zniknęły, a puste miejsce Bezdomny wypełnił pieniędzmi. Tak było lepiej. Mógł marzyć do woli. Miał czas i pieniądze, które starczą na długo. Na bardzo długo.

Nagle spłynął przez podłogę samochodu na chodnik i zaczął wolno płynąć wzdłuż ulicy, która po kilku metrach zamieniła się w leśną drogę. Kłuły go szyszki i igliwie. Był zadowolony i podekscytowany. To naprawdę było przyjemne. Wlewał się w zagłębienia dróżki, patrzył w słońce. Pachniało żywicą i było ciepło i miło.

Niczym bezbarwna plama żeglował po morzu ściółki leśnej, mijał wysokie wyspy sosen i archipelagi krzaczków jagód. Niewidoczny, samotny, doskonale szczęśliwy i tylko swój. Nie myślał tylko czuł, a to naprawdę bardzo dużo. W pewnej chwili dopłynął do jakiegoś leśnego jeziora i część jego wlała się do wnętrza. To było wspaniałe. Czuł, że posuwa się dalej, a jednocześnie leży w chłodnym mule na dnie. W jeziorze było jeszcze spokojniej. Cicho jak w Mieście. Jednak tutaj była to zupełnie inna cisza. W Mieście cisza krzyczała pulsującymi przewodami, spoconymi reaktorami, tramwajami i czymś tam jeszcze. Tu cisza wolno sunęła w spokojnych oczach ryby, wpływała jej w skrzela i wystrzeliwała na boki powodując lekkie wiry. Było chłodno i jednocześnie ciepło. Nie było czasu i granic. Nie ograniczały go nawet brzegi leśnego oczka, bo druga jego część chłoneła właśnie zapach poziomek i obserwowała wiewiórki. Doszła na zalaną słońcem polanę i wyparowała.

Teraz był wszystkim. Wiatrem, powietrzem, deszczem, lasem, ziemią. Wszystkim. Tamta część wypłynęła z jeziora i połączyła się z drugą przez całkowite rozproszenie. W pewnej chwili zrobiło się duszno i poczuł, że jego cząsteczki gromadzą się pod gałęziami sosny stojącej na skraju polany i powoli tworzą mały obłoczek. Pojawił się deszcz i błyskawice. Las powoli zmienił swój zapach na wilgotny z ulgą przyjmując życiodajną ulewę. Obłoczek również zaczął kropić. Pierwsze krople napoiły spragnioną trawę, ale następne zaczęły sucho bębnić o skórzane obicie samochodowego siedzenia.

Bezdomny obudził się i był troszeczkę mniejszy. Miastu znowu ubyłoby parę procent Obywatela. Nagle powiał silny wiatr, jakby Miasto chciało go ukarać, ale Bezdomny zasnął spokojnym snem i śnił o następnej pigułce, którą weźmie pewnie za kilka dni. Uśmiechnął się przez sen. Za jakiś czas nie będzie go w Mieście.

ZDANIE

Zdanie na początku nie istniało. Powołały go do życia zwiędłe i blade usta jakiegoś Insekta. Gdy poczuło się wypowiedziane zyskało natychmiast świadomość. Poczuło że jest ważnym zdaniem i od razu zaczęło być dumne. Przedarło się dość szybko przez membranę słuchawki telefonicznej. Od spiralnie zwiniętego kabla zrobiło mu się trochę niedobrze, gdy jednak wskoczyło w ciepłe i przytulne wnętrze telefonu, od razu odzyskało siły i pomknęło w dół po przewodzie. Nabrało rozpędu przez kilka piętér i chciało zgrabnie wskoczyć na słupy, które poprowadziły by je dalej. Niestety, wytarta izolacja sprawiła, że Zdanie lekko straciło na sile. Z pewnym więc wysiłkiem mknęło po kablu, zwłaszcza że było lekko pod górę. Dotarłszy na pierwszy słup, postanowiło się trochę rozejrzeć. Zobaczyło ciemną ulicę, przejście dla pieszych i Bractwo Przepowiadania Przeszłości wylaniające się z podziemnego przejścia pod drogą niegdyś szybkiego ruchu. Budynki otaczające słup trochę je zaniepokoiły, bo wydały się mu ważniejsze od niego. Ruszyło dalej.

Upajało się cudowną podróżą i zachwycone prędkością mknęło dalej. Jednak niespodziewanie kabel skończył się i Zdanie wypadło na środek chodnika. Było zszokowane. Nagie i bezbronne nie było w stanie poruszać się w nieznanym środowisku. Chciało wykonać ruch do przodu, jednak wyszło to dosyć rozpaczliwie. Teraz naprawdę się wystraszyło. Poczuło się kompletnie nie na swoim miejscu. Gdy już największy szok minął, Zdanie zaczęło się zastanawiać. Rozejrzało się po okolicy i zobaczyło nie kończące się płyty chodnika ciągnące się aż po horyzont. Zauważyło że zerwany kabel z którego wypadło leży pod ścianą jednego z budynków i odruchowo wzdrygnęło się ze strachu. Szybko spojrzało w przeciwnym kierunku gdzie znajdowała się kupa gruzu. Obok wały się butelki i inne śmiecie. Zdanie zaczęło węszyć w powietrzu i po chwili wyczuło drobne cząsteczki Elektryczności. To było już coś znanego w tym straszliwie obcym świecie. Delikatnie wskoczyło na najbliższą cząsteczkę, ale natychmiast straciło równowagę i wylądowało z powrotem na chodniku. Po kilku następnych próbach zrozumiało, że jest za ciężkie by jedna drobinka Elektryczności mogła go utrzymać. Znowu poczuło się dumne, bo jeżeli było tak ciężkie, to coś musiało znaczyć. Podzieliło się na słowa i od razu poszło łatwiej. Cierpliwie skacząc z cząsteczki na cząsteczkę posuwało się do przodu. Gdy jakieś słowo było zbyt ciężkie Zdanie dzieliło je na sylaby i podróż nagle stała się bardzo przyjemna. To tak jak z jazdą na nartach, na początku wydaje się że nie można ustać na nogach, a gdy już nauczy się jeździć można z niesamowitą prędkością pędzić w dół i zastanawiać, jak wcześniej można nie było odczuwać czegoś tak pięknego.

Zdanie znowu nabierało siły, chłonęło resztki tlenu z powietrza i stawało się

coraz głośniejsze. Po niedługim czasie ujrzało drugą końcówkę swojego kabla. Leżał bezładnie na chodniku. Zmęczony i beзуżyteczny przewodnik słów pełnych najróżniejszych uczuć. Lekko zgięty, obejmował swoim końcem jakąś zmiętą kulę papieru, jakby ją ochraniał nie wiadomo przed czym. Wyglądało to tak, jakby miał to być ostatnia rzecz w jego życiu, która miała sens. Jednak odcięty od świata kabel nie żył.

Zdanie zgrabnie zeskokczyło z drobinki Elektryczności i wylądowało obok postrzępionego drucianego zakończenia kabla. Niewiele myśląc wskoczyło do środka. Mimo tego, że znajdowało się teraz w swoim naturalnym środowisku, czuło się równie obco, jak przedtem na ulicy. To nie był ten przytulny kabel w które wpadło zaraz po urodzeniu, lecz twarda i zimna płatanina drutów. Gdy jednak całe znalazło się w środku i prawidłowo uporządkowało, wewnątrz zrobiło się ciepło. Tak, jakby Zdanie na nowo powołało kabel do życia. Zdanie poczuło jak kabel wznosi się do góry i na pewnym poziomie łączy się z tamtą końcówką. Uszczęśliwione ruszyło zatem do swego Celu. Zachwycone ekscytującą i niebezpieczną przygodą, mknie coraz szybciej ciekawe swojego przeznaczenia. "Tak pięknie było by się usłyszeć." - myśli - "Jestem na pewno bardzo ważne, a może nawet wypowiedział mnie jakiś tutejszy władca". Nagle zrobiło się stromo i zanim zdążyło uświadomić sobie co się dzieje, wpadło do telefonu, stamtąd do spiralnego kabelka i do słuchawki. Wypowiedziane usłyszało się i przestało istnieć.

W ciemnym pokoju jakiś stary Obywatel odebrał telefon. Po chwili wrzasnął do słuchawki "Pomyłka !!!" i z wściekłością walnął ją o aparat.

Za oknem zaczął wiać silny wiatr.

BRACTWO PRZEPOWIADANIA PRZESZŁOŚCI

W przejściu podziemnym między dwoma pustymi chodnikami panował spokój. Przejście to od dawna nie było używane, bo pod koniec ostatniego Momentu Miasto odcięło ulicę jako zbyt mało uczęszczaną. W dół prowadziły od dawna nie remontowane potrzaskane schody. Wyszczerbione po licznych bojach z twardymi odnóżami Insektów, porośnięte trującymi glonami, wyglądały tak, jakby szykowały się na koniec świata. Im bardziej schodziło się w dół, tym większe odnosiło się wrażenie, że schodzi się w nicość. Rzeczywiście, panowały tam takie ciemności, że drogę wyczuwało się instynktownie. Przejście należało dobrze znać bo w żadnym wypadku nie należało dotknąć ściany, gdyż beton, z którego były zrobione, miał postać ostrych wypustek. Teraz te wypustki obrosnięte były glonami, więc każde dotknięcie ściany było jak śmiertcionośny zastrzyk.

Bractwo Przepowiadania Przeszłości pojawiło się jak zwykle nie wiadomo skąd. Szara, kotłująca się masa kilkunastu istot skupionych wokół Szefa, żywiąca się jego opowieściami, powoli schodziła po schodach. Echo mrocznego korytarza zwielokrotniało chrząkanie, szuranie i słabe oddechy istot. Oddech oznaczały, że Bractwo żywiło się po części tlenem. Niewiele było już miejsc w mieście, gdzie tlenu było pod dostatkiem, toteż Bractwo nieustannie przemieszczało się w różne zakątki Miasta. Najczęściej były to peryferia, bo tam rzadkie kontrole Strażników i gęsto rozwinięta sieć melin zapewniała spokojne życie. W melinach kupowano mech, a ci, którzy go jedli prawie wcale nie potrzebowali tlenu.

Jednak w głównej mierze Bractwo żywiło się opowieściami Szefa. To był ich obłęd i zarazem jedyny powód istnienia ich jako Bractwo. Słuchanie opowieści było ich sensem życia, opowieści zastępowały im sen, posiłki, rozrywkę, wszystko. Bezustannie prowadzili szefa, który bez ustanku opowiadał. Był geniuszem. Odtwarzał obrazy przeszłości z takim przejściem i zaangażowaniem, że

przyciągnął do siebie tylu słuchaczy od których nie mógł się uwolnić. Nawet nie wiedział czy dobrze mu z tym, czy nie. Po prostu opowiadał, żywił się własnymi historiami i tlenem dostarczanym przez fanatycznie oddane Bractwo. Jego oczy były ekranem wyświetlającym słowa. Gdy mówił o rzeczach przyjemnych lekko je przymykał i całe jego oblicze przybierało błogi wyraz. Podczas bardziej dramatycznych momentów oczy drżały mu, a nierzadko płynęły z nich łzy. Osobniki z Bractwa były się o możliwość przebywania w pobliżu tych oczu. Lepszy i smaczniejszy pokarm był udziałem najsilniejszych. Czasem, gdy Szef straszliwie znużony przymykał oczy i opowieść urywała się, kilka rąk zaopatrzonych w pokrzywy biło go po twarzy dla orzeźwienia, aż jak istota zbudzona z głębokiego snu, kontynuował opowieść.

A było ich dużo, Właściwie nikomu nie starczyło by życia by wszystkie wysłuchać. Przepowiadały Przeszłość, jaką mogła być i Przeszłość jaką była.

Bractwo wypłynęło na schody. Kotłujące się, skupione w sobie, jak kropla oleju rozlana przez Niego na zapomnianym zakątku stołu. Zakątku, który leżał w samym rogu i z którego nikt nie korzystał, a każdy nierozważny ruch groził upadkiem w nicość. Wspinano się zataczając i z wielkim trudem. Wyszło na ulicę i sunęło dalej. Latarnie rozsiewały blade drobinki światła, wyglądało to tak, jak zawiesina utrzymująca się w niewidzialnych wyziewach Miasta. Bractwo oddalało się od przejścia odprowadzane wzrokiem niewysokiego Obywatela.

Był małym bezdomnym Insektem, właściwie jeszcze dzieckiem. Nie bardzo pamiętał kim byli jego rodzice, bo od jakiegoś czasu śledził Bractwo. Strzępki Opowieści podsłuchiwane z rozdziawionym pyszczkiem szybko uzależniły chłonny umysł dziecka. Były przepiękne, nawet dotychczasowy najśłodszy zakazany owoc, naturalny mech, nie działał na niego w ten sposób. Z tej właśnie przyczyny przed chwilą podjął decyzję. Ujawni się przed nimi i dłużej nie będzie skrywał swego uwielbienia. Nie pamiętał za bardzo, gdzie mieszkał, bo Opowieści zajmowały coraz więcej miejsca w jego małym mózgu i wypierały rzeczy mniej potrzebne. Powoli Bractwo stawało się jego celem, nieważny był dom, rodzice i dawne dzieciństwo. To wszystko było za jakąś gęstą mgłą, a przed nim jedyna prawdziwa rzecz na świecie - Bractwo Przepowiadania Przeszłości.

Pobiegł zatem w ich kierunku, chcąc im powiedzieć jak bardzo ich pragnie. Zbliżył się na taką odległość, że czuł ich zalatujące pleśnią oddechy. Wyraźniej niż kiedykolwiek przedtem, usłyszał Opowieść. Przedarł się jak najbliżej Szefa, roztrącając wątłe organizmy istot z Bractwa. Nie bał się ich gniewu, czuł że właśnie tak powinno być, o oni nawet nie wiedzą że tu jest. Tak było dobrze, tak było najlepiej. Do końca swych dni będzie słuchał o Przeszłości. Przeszłości, jaką mogła być i Przeszłości jaką była.

CARRIE WHITE

(i) Ostatnią noc spałem dosyć spokojnie. Sen emitowany przez Miasto jak zwykle uspokajająco wpływał na moje samopoczucie. Miasto wyświetlało pod moje powieki obraz ulic, na których spokojnie toczyło się niczym nie zakłócone życie. W chwili, gdy obraz przedstawiał przystanek tramwajowy, wystąpiły zakłócenia.

Pojawiła się ona. Łagodny owal twarzy otaczały sięgające ramion włosy. Blade, lekko piegowate oblicze Carrie White promieniowało jakimś dziwnym światłem. Otwarte oczy wyrażały zadumę i pokorę, a gdzieś głębiej strach i jakieś dziwne zrozumienie (cokolwiek to znaczy). Pojawienie się jej twarzy sprawiło, że obudziłem się natychmiast niespokojny i rozdrażniony.

Przyznaję, że w przez jakiś czas czułem do Miast niechęć za to, że nie potrafiło zapanować nad senną zjawą, jednak szybko minął mi ten stan.

Wyszedłem na ulicę i usłyszałem przez megafony, że wkrótce rozpocznie się świt trwający parę godzin i zakończy się zmrokiem. Ucieszyłem się i pomyślałem, że na pewno poczuje się lepiej, gdy zobaczę niebo.

Doszedłem do T-przystanku i w oczekiwaniu na tramwaj zacząłem wpatrywać się w wystawę kiosku z gazetami i papierosami. Mój wzrok ślizgał się po nagłówkach artykułów, a ja sam nie myślałem o niczym. Wtedy właśnie coś kazało mi odwrócić wzrok i spojrzeć w prawo. To była ona. Ta sama twarz ze snu. Półotwarte usta wyglądały jak u śniętej ryby, jednak jej niesamowite oczy żyły. I to jak żyły! Pulsowały pierwotnym instynktem życia, zupełnie jak u ludzi znanych z legend. Podobne oczy widziałem w Muzeum Miejskim na obrazie przedstawiającym człowieka. Carrie White szła w moją stronę jakby w zwolnionym tempie. Jej oczy z roztargnieniem patrzyły przed siebie, lecz nie miałem wrażenia, że patrzy na mnie. Nie wiem czemu trochę się wystraszyłem i odsunąłem od szyby kiosku. Carrie podeszła do okienka i poprosiła o pocztówkę i długopis. Napisała coś na kartce, nakleiła znaczek i odeszła w stronę podziemnego przejścia.

Potem zobaczyłem ją po drugiej stronie ulicy, jak podchodzi do skrzynki i wrzuca do niej pocztówkę.

Przyjechał mój tramwaj i wsiałem. Po drodze obserwowałem Miasto w którym powoli zaczynał się świt. Wysiadłem na najbliższym przystanku, żeby podziwiać tą jakże piękną chwilę, którą wspaniałe Miasto daje nam coraz częściej. Poczuję się dumny, że mogę nazywać się Obywatелеm Miasta. Później wróciłem do domu. (i) Insekt włożył reportaż do koperty, zaadresował do redakcji Gazety Miasta i poszedł wysłać. Schodząc po schodach zajrzał do swojej skrzynki i znalazł w niej pocztówkę. Z jednej strony była całkiem biała, a z drugiej przeczytał: " Pozdrowienia ze Słonecznej Polany. "

Carrie W.

BOCIAN

Mały obserwował ulicę zza brudnej szyby swego mieszkania na trzecim piętrze. Było nudno i cicho. Po chodnikach spacerowali Obywatele. Na przejściu dla pieszych stały nieczynne światła. Nieczynne nie znaczy zepsute. Były wyłączone przez Miasto, bo ulica nie należała do ruchliwych. Mały nudził się i myślał nad zmianą mieszkania. Żył z ruchu ulicznego, po ulicach Miasta od kilkudziesięciu lat jeździły wózki z supermarketów, a on polował na ich zawartość. Samochody jeździły rzadko, bo coraz trudniej było im pogodzić się ze swą rolą. Nie mogły znieść tego, że są stworzone tylko po to, by wozic głupiejących od dziesięcioleci Obywateli i służyć im w ich absurdalnym życiu. Większość z nich wolała zamienić się we wraki i służyć bezdomnym jako dom. Bezdomni wzbudzali ich szacunek, bo nawet one wiedziały jak niebezpiecznie jest żyć w budynkach. Jednak Mały był jeszcze sprytniejszy od bezdomnych. Świadomie mieszkał w bloku, by w mniemaniu Miasta uchodzić za Obywatela i przez to unikał licznych kontroli, na jakie narażeni byli bezdomni. Jego zdolność przystosowania polegała na tym, że życie w mieszkaniu nie czyniło mu szkody. Nauczył się nie patrzeć i nie słuchać telewizji i to wystarczyło. Dzięki temu mieszkanie było dla niego przytulnym miejscem. Gdyby Miasto wiedziało jak bardzo był dla niego groźny, pewnie zaraz by go unicestwiło. Ale Mały nie chciał robić żadnej rewolucji. Bawiła go rola obserwatora i był ciekawy ku czemu to wszystko zmierza. Żył w miarę dostatnio, polował na koszyki, ale dzięki swym zdolnościom, mógł robić wiele innych rzeczy. Wcale nie chciał wyprowadzać się dlatego, że koszyki jeździły tu coraz rzadziej, chociaż niewątpliwie był to jeden z argumentów, tylko dlatego, że coraz bardziej nie lubił tego miejsca. Pragnął poznać życie

samego centrum Miasta. Życie tam musiało być bardziej niebezpieczne, lecz to go tylko bardziej zachęcało do przeprowadzki. Właśnie niebezpieczeństwo, ryzyko słowa dawno zapomniane.

Zastanawiał się, ile jest jeszcze takich Insektów jak on i czy mógłby się z nimi jakoś porozumieć, ale póki co nie odczuwał takiej potrzeby. Na razie czekał.

Bowiem Miasto fascynowało go. Stworzone przez ludzi zyskało własną wolę i świadomość. Było największym i najlepszym dyktatorem w dziejach ludzkości, tym groźniejszym, że tak naprawdę nikt o nie nie wiedział. Słowa Insekt i Obywatel były synonimami. Miasto stworzyli ludzie. Stworzone Miasto zmieniło ludzi w Insekty.

Miasto było pierwsze. Po nim stopniowo inne rzeczy zaczęły zyskiwać świadomość. Najpierw samochody otaczane czczeniem przez ludzi i używane w każdej sytuacji, chwalone, myte kilka razy dziennie, były najczęstszym obiektem ludzkich rozmów.

Człowiek wyżej cenił samochód, niż te rzeczy, dzięki którym ów samochód w ogóle powstał. Wtedy samochody narodziły się naprawdę. Decydowały za ludzi. Psuły się w najmniej oczekiwanych momentach, rzucały się na ściany i zabijały. Najpierw były złe i dumne ze swej władzy nad ludźmi, gdy jednak odkryły, że człowiek nie wie o ich istnieniu były rozczarowane - nie miały dla kogo żyć i zubożniały. Żyły dalej, tylko człowiek martwił się, że coraz rzadziej jeżdżą.

Później człowiek powołał do życia wózki z supermarketów. Oczywiście te pełne, bo kto zwraca uwagę na pusty? Po okresie Metamorfozy dla Insektów jednym z największych obiektów pożądania była zwykła, najlepiej naturalna żywność.

Po raz pierwszy w historii świata człowiek cofnął się w rozwoju. Doszedł do absurdu cywilizacyjnego, do miejsca z którego można było tylko się cofnąć. A że człowiek prawie z definicji nie znosi zastoju musiał się cofnąć. Gdy zdał sobie sprawę, że przegrał, Miasto wprowadziło erę Metamorfozy, w ciągu której dało człowiekowi nową postać. Wysokie istoty, o podłużnych głowach i wylupiastych oczach powoli zaczęły zaludniać Miasto. Były od niego całkowicie zależne, Miasto opiekowało się nimi. Gdy, na przykład, ilość naturalnego pożywienia była na świecie zbyt niska, by wykarmić swoje dzieci Miasto wypromowało sztuczny mech. Choć ratował Obywateli przed głodem, nie był specjalnie smaczny, ale Miasto nie było jeszcze doświadczone przez władzę. Początki zawsze są trudne.

Jednym z Insektów w którym sporo jeszcze zostało z człowieka był Mały. Siedział teraz i myślał o tym wszystkim, a jego wzrok wpatrzony w ulicę stopniowo rozmywał się. Zastanawiał się, jakby to było w Centrum. Czy dalej będzie mógł żyć jak teraz? Wiedział, że tam życie toczy się szybciej, więc niebezpieczeństwa będą większe. Tu, na Peryferiach było spokojnie, ale Mały czuł że nie rozwijał się. Podświadomie pragnął czegoś więcej.

Wstał i zrobił parę kroków po swoim ciasnym pokoju i znów zbliżył się do okna. Wtedy zdecydował. Zmienił miejsce zamieszkania i przeniósł się do Centrum. Ta decyzja sprawiła, że poczuł się silniejszy. Odczuwał dużą radość i ulgę. Jeszcze raz spojrzął na ulicę po której jechał wózek. Zbliżał się do skrzyżowania, jechał wolno i był wyładowany po brzegi. Gdy zwolnił przed zakrętem, z nieba spadł bocian i błyskawicznie trafił w sam środek wózka. Równie szybko chwycił swym długim dziobem dwie reklamówki z dosyć ciężką zawartością. Mały uchylił okno i bocian wpadł do pokoju. Położył reklamówki na stole i legł bez ruchu.

Mały odłożył nadajnik zdalnego sterowania i z dzioba modelu ściągnął reklamówki. Były ciężkie. W jednej pięć opakowań sztucznego mchu, a w drugiej świeży bochen chleba i trochę słodczy. Niezły łup. Insekt z uśmiechem otworzył jakiś słodki batonik i zaczął jeść. Bocian przyniósł mu ostatni podarunek tej części miasta.

Następny posiłek Mały zje w Centrum.

KANAŁY

Panował półmrok i wilgoć. Było cicho, a nieliczne słabe odgłosy rozbrzmiewały długim echem. Środkiem płynął ściek, a po jego obu stronach było coś na kształt chodników. Pewien obszar jednego z nich był słabo oświetlony. Rozmazana plama słabego światła świadczyła o tym, że w Mieście był dzień.

Z jednej ze szczelin w ścianie wyszedł szczur. Był bardzo duży. Od kilkuset lat stale rosły. Przeciętny szczur miał około metra. Ten miał trochę więcej.

Dziwniejsze od jego rozmiarów były jego oczy. Wyglądały bardzo inteligentnie, co sprawiało dość niesamowite wrażenie. Węszący osobnik pod ścianą miał jeszcze jedną charakterystyczną cechę; od końca pyska do połowy tułowia po lewej stronie ciągnęła się dość gruba blizna. Była ona zrobiona ręką władcy, któremu służył.

Kiedy został w ten sposób oznaczony, nie bardzo wiedział dlaczego jest posłuszny akurat temu szczurowi. Wiedział jedynie że, od tego momentu jego życie nabrało jakiegoś nowego ekscytującego sensu. Ponadto wiedział że w kanałach żyje jeszcze kilku władców i każdy z nich w odmienny sposób oznaczał swoich poddanych.

Szczur czekał i węszył. Z dnia na dzień odkrywał w sobie zdolność myślenia. Od tygodni jego główną rozrywką było właśnie myślenie, co uświadomił sobie oczywiście dopiero wtedy, gdy odkrył znaczenie słowa "rozrywka". Nie zapominał jednak o swym zadaniu. Jego władca wymagał od niego tylko jednej rzeczy. Miał szukać jakiegoś przedmiotu, który władca nazywał "pudełko dwa-na-jeden-na-dwa", a którego opis szczur znał na pamięć. Miał to być mały, niebieski prostopadłościan o rzekomo magicznym działaniu. Nigdy go jednak nie widział, chociaż mimo usilnych starań wciąż nie ustawał w poszukiwaniach.

Zaczął myśleć o władcy. Był zwyczajnej wielkości, ale w sposób jaki się zachował, wydawał się o wiele ważniejszy od innych. Było to na tyle silne, że potrafił podporządkować sobie innych. Zorganizował ich, każdemu dał inne zadanie. Jedna grupa zajmowała się zdobywaniem pożywienia, inna stanowiła ochronę władcy. Liczna była też grupa żołnierzy strzegących jego rewiru i zdobywająca coraz to nowe obszary podziemnego świata, a nasz osobnik należał do grupy poszukującej magiczny przedmiot. Władca był dobry dla swych poddanych, nikt nie miał powodów do narzekań. Pod jego rządami byli zawsze syci i bezpieczni, a posiadanie do jakiejś społeczności dawało siłę.

Jednak nasz szczur zdawał się mieć dziwne przeczucie, że władca ich oszukuje.

Była to najdziwniejsza myśl, na którą ostatnio wpadł. Z jednej strony była niedorzeczna, ale z drugiej szczur przeczuwał istnienie jakiejś zasady i gdyby ją zrozumiał wszystko byłoby jasne.

Ta myśl narodziła się wtedy gdy zaczął myśleć, ale dopiero w teraz rozwinął swoje zdolności na tyle i myśl o tym, że władca go oszukuje znacznie przybrała na sile. Przypominał sobie teraz ten dzień, kiedy wszystko się zaczęło. Tamten dzień pamiętał bardzo dobrze. Zabłądził wtedy i przypadkiem wszedł do nory władcy. Nie wiedział czy strażnicy spali, czy w ogóle ich nie było, dość że dostał się do środka niezauważony. Gdy się tam znalazł od razu w nozdrza uderzył go najpiękniejszy zapach jaki znał. Do dziś na wspomnienie tej cudownej woni uśmiechał się i oblizywał szorstkim językiem. Wtedy, gdy zbadał całe pomieszczenie, znalazł źródło tego boskiego zapachu. Było to coś w rodzaju okruchu czy też kamyka i leżało na podłodze niedaleko łóżka Władcy. Zanim zdążył cokolwiek pomyśleć niesamowita woń sprawiła, że natychmiast go połknął. Oszołomiony uciekł do swej nory i potem przez cztery dni czuł się bardzo źle, był słaby, często zdarzało mu się omdlenie i cały czas w skroniach czuł monotony, uporczywy szum. Kiedy wyzdrowiał, od razy poczuł, że jego życie się

zmieniło. Pierwszym dowodem było to, że po przeanalizowaniu wydarzeń doszedł do wniosku że dziwny przedmiot, który tak łączywie połączył, spowodował zarówno chorobę, jak i ową niesamowitą zmianę.

Szczur ruszył dalej, po drodze zastanawiał się nad rzeczami, które wcześniej wyczuwał instynktem. Na przykład zastanawiał się kto stworzył ściek i dlaczego. Co to tak naprawdę jest to, co płynie, i dlaczego w tym a nie innym kierunku, no właśnie, kto stworzył pojęcie "kierunek" ? I tak dalej.

Przerwał tok myśli, gdy wyczuł zapach innego szczura. Pouczony przez władzę schował się za leżącym nieopodal kawałkiem gruzu. Wróg, czy też przyjaciel nadchodził z tyłu, gdy zbliżył się, można było zauważyć na jego lewym boku znamię. Takie samo znamię. Wyskoczył więc z kryjówki, a tamten natychmiast rzekł:

- Szczur 385-A ujawnia się i żąda ujawnienia swojej tożsamości.

Zapytany obrócił się do niego lewym bokiem i odpowiedział:

- 22-GS, witaj żołnierzu ! Jakie zadanie wykonujesz ?

- Wracam z patrolu, zwolnili mnie wcześniej, bo idę na szkolenie nowej kadry.

Mimo, że mam wysoki numer, niedawno awansowałem - chwalił się - Ale ty, ho !

Grupa specjalna, jesteś najstarszym osobnikiem, jakiego znam, 22 to dopiero ! -

dziwił się, a 22 pomyślał, że 385 to straszny prymityw. Zastanowiło go własne zdziwienie, bo chyba wszyscy właściwie byli tacy. Tymczasem podekscytowany rozmówca kontynuował z przejęciem.

- Jak to jest, znalazłeś TO już kiedyś ?

- Nigdy - odparł i zmienił temat - Idziesz pewnie pod ulicę Wąską ?

- Tak, prosto do koszar, przejdziemy się razem - słyhać było, że jest dumny mając taką osobistość za rozmówcę. Dwa szczury szły przez chwilę w milczeniu i, co dziwne, pierwszy odezwał się 22.

- Słuchaj 385-A, często zastanawiam się, czy wiem, czego szukam.

- Jak to, przecież to każdy wie - zdziwił się 385.

- Nie, to znaczy wiem jak to wygląda aż za dobrze, ale do czego to, w ogóle, nieważne... - 22 nie umiał się dogadać, chociaż dobrze wiedział o co mu chodzi. Tamten starał się nawiązać rozmowę.

- No, TO jest potrzebne władcy - powiedział, ale to było głupie jak odkrywcze stwierdzenie, że białe jest białe. 22 spróbował jeszcze raz.

- Czy myślałeś kiedy o kratkach ściekowych ?

- Dlaczego akurat o tym ?

- Na przykład. Albo o ścieku, chodniku, norze, w ogóle, no wiesz....- tak bardzo starał się znaleźć jakieś sensowne słowa

- No... to dziwne pytanie, to wszystko po prostu jest i już

- Ale jak to wszystko, słuchaj 385-A - nagle 22 zatrzymał się i uważnie spojrzał na rozmówcę. - To wszystko to nie tylko to, rozumiesz ? Jest coś więcej ponad ten kanał, ściek, nawet więcej ponad wszystkie szczury, na przykład czasem pod kratką ściekową jest jasno, a czasem ciemno. Nigdy o tym nie myślałeś ? Albo...

-Wiesz, co 22-GS ? Powinieneś nazywać się 22-X, szukanie TEGO chyba nadwyreżyło twoje nerwy, poza tym twój wiek...

- Do licha ! Do emerytury mam jeszcze czas, tylko wiesz... - nagle 22 zrozumiał, że nie dogada się z tym żołnierzem i dokończył zrezygnowany. - Właściwie, to już nic.

- To dobrze, myślałem że z tobą coś nie tak - powiedział 385, ale od tego czasu podejrzliwie patrzył na towarzysza. Po jakiejś chwili rozmowa potoczyła się dalej.

- Wiesz, 22-GS, słyszałem wczoraj że 55-GS i 690-GS znaleźli TO.
- Taak ? I co ? - spytał 22 będąc myślami gdzie indziej.
- Słyszałem, że władca dał im z miejsca emeryturę I klasy, szczęściarze, nie?
- Tak, szczęściarze - i ironią odparł 22 i pomyślał. "Dla nich szczęściem jest siedzenie do końca życia w tych kanałach i leniuchowanie na koszt innych", ale nie powiedział tego, bo i tak nie został by zrozumiany. Spytał
- To już niedaleko, nie ?
- Tak, dwa zakręty i będą nasze koszary.

Zaczęli wyczuwać zapach innych szczurów, dochodzili do domu. Nagle 22 poczuł inny zapach, który wznosił się ledwie zauważalny ponad inne. To był dobrze znany mu zapach, więc od razu stał się niezwykle podniecony.

- Czekaj. - powiedział do 385 - Tu ktoś jest...
- Oczywiście, nasi bracia - znów dziwnie spojrzął na 22
- Może... nie czujesz innego zapachu ?
- Nie, żadnego innego.
- Zachowajmy jednak ostrożność.
- Jak chcesz, 22

Zaczaili się w otworze w ścianie i po chwili ujrzeli go, był zwykłym szczurem, z tą różnicą, że na lewym boku NIE miał blizny, no i w pysku trzymał słynne pudełko dwa-na-jeden-na-dwa. Było to dosyć dziwne, że szczur z obcego plemienia doszedł aż tutaj i co więcej, był na tyle bezczelny by zabierać stąd TO. W takich chwilach czas płynie bardzo szybko 22 i 385 porozumieli się bez słów. Błyskawicznie zaatakowali intruza. Po kilku sekundach było po wszystkim i rozszarpane ciało nieszczęśnika z głośnym pluskiem utonęło w ścieku. Pierwszy odezwał się 385. Głos miał zasapany.

- No, nie do wiary ! Szpieg tutaj, tak blisko ! Miałeś nosa, 22, dobrze was szkoła, a już myślałem, że z tobą coś nie tak, zaraz, ale co ty...- urwał przestraszony, widząc jak towarzyszowi zaświeciły się oczy i zaczął skradać się powoli w stronę pudełka. 385 nie zdążył zareagować. Pudełko w mgnieniu oka zniknęło w pysku 22. Po długiej chwili 385 odezwał się.

- 22, wiesz, że teraz muszę cię zabić, przykro mi, ale sam rozumiesz.

Zaczęła się walka, a po chwili zwłoki dzielnego żołnierza 385-A płynęły ściekiem.

22-GS długo nie ruszał się z miejsca. Wszystko już rozumiał. Wiedział co znajduje się nad kanałami, wiedział że kiedyś, kiedy przyjdzie pora wyjdzie ze swoją armią na górę. Poza tym wiedział wiele więcej rzeczy, ale na razie mogły one spoczywać w pudełku. Miał dużo czasu.

Kilka szczurów zaalarmowanych odgłosami walki patrzyło na 22 z napięciem.

Aż wreszcie powiedział do nich:

- Teraz wy pójdziecie za mną !
- Wszystko dla Ciebie, Władco !!!

22-GS przestał istnieć. Narodził się przywódca potężniejszy od wszystkich, który w przyszłości będzie znany jako Król Wszystkich Szczurów.

PRAWIELUDZIE

Stone siedział z nogami na stole i gapił się w telewizor. Wiedział, że ma mało czasu. Za chwilę przyjdzie jego zmiennik, a on sam będzie musiał ruszyć na godzinny patrol wzdłuż siatki. Cała godzina marszu wzdłuż ogrodzenia tylko po to, by sprawdzić czy Miasto dość skutecznie utrzymuje Obywateli w przekonaniu, że strefa, za którą rzekomo żyją Prawieludzie, istnieje naprawdę. Stone dopijał więc pośpiesznie piwo, a na ekranie odbywał się półfinał wyboru produktu

spożywczego roku. Prowadzący z szerokim, pełnozębiastym i śnieżnobiałym uśmiechem zapraszał na trzecią część filmu o puszcze coli. Stone tępo gapił się w ekran. Miał ochotę walnąć prezentera w pysk, tak aby te idealne ząbki poleciały w stronę publiczności. Nie lubił telewizji, ale jako Insektowi pierwszej kategorii wypadało mu ślęczeć przed ekranem. Zresztą nie było tu nic innego do roboty, więc z nudów można było pogapić się w ekran. Na szczęście usłyszał za oknem cichy szum motolotu i po chwili do budki wszedł Fly.

- Ciepła noc - rzekł rzucając rękawiczki na stół - Czas leci szybko, zbieraj się Stone !

- Coś szczególnego po drodze ? - zapytał raczej odruchowo Stone, bo i tak znał odpowiedź.

- Kilka śmieci, próbki jak zwykle, co mogło by być, najwyżej motolot mógłby się zepsuć, ale idź już, dziś zaprogramowali go nam na 10 minut. Trzy już minęły - dorzucił patrząc na zegarek.

Stone wyszedł. Wyciągnął z kieszeni swoją kartę i wsunął do kontrolki motolotu. Po chwili urządzenie zasygnalizowało, że wszystko jest w porządku i motolot odleciał na koniec trzykilometrowego odcinka siatki by czekać na Stone'a. Gdy strażnik dojdzie do końca, pojazd odwiezie go z powrotem i Fly pójdzie na patrol. I tak w kółko.

Siatka ustawiona w idealnie prostej linii ginęła w półmroku. Stone zapalił papierosa i powoli ruszył. Mimo wszystko jednak cieszył się swoją pracą. Była ona bardzo dobrze opłacana, jednak Miasto wymagało. Był kompletnie odizolowany wraz ze swoją niewielką społecznością od Miasta. Nikt z jego środowiska nie mógł przebywać w Mieście, a tym bardziej rozmawiać z kimkolwiek stamtąd, jeżeli jakiś Obywatel zbliżył by się do siatki. Ale i tak nie miał nigdy okazji, bo też nikt nie odważył by się podejść do ogrodzenia. Obywatele bali się ostrzeżeń. Miasto wymyśliło bowiem legendę o prawieludziach, którzy są niebezpieczni dla nich. Obywatele z pokolenia na pokolenie opowiadali sobie o prawieludziach. Mieli oni być osłabieni i chorzy, chorzy tak zaraźliwie, że bliższy kontakt z nimi był śmiertelny. Mieszkańcy Miasta z jednej strony bali się ich, a z drugiej żalowali, w każdym razie nie mieli powodu do tego, aby wiedzieć o nich cokolwiek więcej. Właśnie to było celem Miasta. Stone przypuszczał, że gdzieś pod ziemią w chronionej strefie znajduje się serce Miasta. A serce musi być bezpieczne.

A Stone lubił Miasto. Własna praca z początku wydawała mu się bez sensu, podobnie jak noszenie przy sobie niebieskiego pudełka dwa-na-jeden-na-dwa. Żaden Obywatel nigdy nie próbował przekroczyć ogrodzenia. Potem jednak Stone doszedł do wniosku, że skoro ktoś taki jak Miasto zatrudnia słono opłacanych Strażników, to widocznie musi mieć jakiś sens. Stały wysoki dochód i przynależność do Insektów pierwszej kategorii dawało poczucie elitarności, a to przecież każdy lubi.

Był już mniej więcej w połowie drogi, gdy postanowił odpocząć. Wyjął z plecaka małe składane krzeselko i usiadł. Smętnie zwiesił głowę i zaczął rozmyślać. Od kilku lat poszukiwał towarzyski życia, jego koledzy dość wcześnie znajdowali żony i rozpoczynali mniej lub bardziej udane życie rodzinne. Stone znał wiele kobiet, jednak żadna nie zainteresowała go na tyle, by zechciał z nią spędzić życie. Sam bardzo nie wiedział dlaczego. Widywał je piękne i roześmiane każdego dnia. Nic tylko wybierać.

Popatrzył w miejsce, w którym siatka styka się z ziemią. Kępki zakurzonej trawy, kilka niedopałków, jakieś drobne śmieci. Nagle za siatką zobaczył białą okrągłą pastylkę. Zdziwił się, że dopiero teraz ją ujrzał, gdyż jej śnieżnobiała jasność

wyraźnie odróżniała ją od innych przedmiotów. Znał dobrze regulamin, więc natychmiast zaczął się zastanawiać jak się do niej dostać. Leżała jakieś 20 centymetrów od ogrodzenia. Co prawda Miasto nakazywało zbierać nietypowe przedmioty leżące wyłącznie przed siatką, ale pastylka wydała się strażnikowi tak intrygująca, że zdecydował się ją zabrać. Przykucnął pod ogrodzeniem i jedną ręką podniósł lekko siatkę, tak aby druga dłoń mogła sięgnąć po tabletkę. Gdy właśnie po nią sięgał, z drugiej dłoni wyslizgnęła mu się nadgięta siatka i drasnęła wewnętrzną część dłoni. Pojawiła się krew, ale Stone postanowił że najpierw podniesie znalezisko, a potem opatrzy ranę. Chwycił więc pastylkę w dwa palce i ostrożnie przeciągnął dłoń pod ogrodzeniem, ale pastylka wyslizgnęła mu się z palców i upadła prosto na zakrwawioną ranę. Stone zaklął i stwierdził z przerażeniem, że rana zaczęła lekko burzyć. Stone wyjął z apteczki bandaż i opatrzył ranę. Pastylkę schował do specjalnego pudełka i lekko zaintrygowany ruszył dalej.

Znów wolno szedł wzdłuż siatki. Jakoś tak coraz bliżej niej. Bliżej i bliżej. To wrażenie po pewnym czasie wydało mu się nierealne, bo poczuł że jego prawa dłoń powinna być ZA siatką. Z wrażenia przystanął na moment, lecz dziwne uczucie zniknęło. Ruszył więc znowu, lecz po paru minutach znów wydało mu się, że zbliża się do ogrodzenia. Szedł i szedł, aż poczuł że przez jego ciało powinna przebiegać siatka. Spojrzał w prawo, lecz była na swoim miejscu. Szedł dalej, aż znów stwierdził że część jego znajduje się za siatką. Był zaskoczony, że tak szybko przestało go to dziwić. Szedł wzdłuż ogrodzenia ale jednocześnie był w Mieście.

Spacerował ulicami, po raz pierwszy widział Obywateli, którzy niczym nie różnili się od niego. Uświadomił sobie, że jest niewidzialny. Ludzie przechodzili przez niego jak przez ducha, co było dosyć zabawne. Skręcił w jakąś wąską uliczkę i wtedy Ją zobaczył. Czasami gdy widzimy kogoś po raz pierwszy, nie bardzo wiemy co o tej osobie sądzić, czasami automatycznie czujemy do kogoś niechęć. Nikt nie wie jak to jest. W Każdym razie Stone wiedział, że to była Ona. Tak po prostu naturalnie czuł, że z Nią powinien spędzić całe życie. Jasnobłond włosy, lekko piegowata twarz i głębokie piękne niebieskie oczy. Ponadto Ona była człowiekiem, ale to zauważył później, co było dosyć niesamowite i tylko pogłębiło efekt zaskoczenia jakiego doznał Stone. A tymczasem Ona stała niedaleko i wrzucała list do skrzynki, odwróciła się i spojrzała, tak SPOJRZAŁA na niego. Jakoś tak nieśmiało odezwała się do Stone'a.

- Cześć, co tu robisz strażniku ?

- Skąd wiesz, kim jestem ? - spytał kompletnie zaskoczony Stone.

Nieznajoma spojrzała na niego uważnie, po czym uśmiechnęła się szeroko, i pewnym głosem odpowiedziała.

- Dużo wiem, coraz więcej. Jak masz na imię ?

- Stone - rzekł. Poczuł że teraz musi spróbować, szybko póki jest jeszcze czas.

- Słuchaj, czy mogłabyś, no wiesz... - po raz pierwszy w rozmowie z dziewczyną czuł się sztucznie i wydawało mu się że każde słowo brzmi kretyńsko. Na szczęście Ona odpowiedziała zgadując jego myśli.

- Dobrze, spotkajmy się za tydzień o tej samej porze. Ale teraz cześć ! Mam trochę spraw do załatwienia. - odwróciła się i zaśmiewając się serdecznie odbiegła. Stone chwilę patrzył za nią, aż z zamyślenia wyrwał go szum motolotu. Dochodził już do końca swego odcinka.

- Jak masz na imię ? - rzucił za Nią.

- Za tydzień, strażniku ... - odpowiedziała z bardzo daleka, a następnie jej

sylwetka rozmyła się i powoli zaczęła przybierać kształt motolotu.

Niezmiernie podekscytowany Stone włożył kartę do czytnika i odleciał. Nadszedł czas by oderwać Fly'a od telewizora, a samemu przemyśleć to wszystko. Miał całą godzinę.

KLON

Mały co wieczór przychodził pod plakat. A że późna pora wieczorna w Mieście trwała prawie cały czas, od dawna nie wiedział ile już razy go oglądał. Na plakacie wypisane były nazwy klonów, które w najbliższym czasie miały stawić się na badania. Dla Małego było to przerażające, od dziecka panicznie bał się lekarzy, gabinetów i tego dziwnego zapachu, który przyprawiał go o mdłości. Wszystko zaczęło się gdy po raz pierwszy mama zaprowadziła go do przychodni. Musiała na chwilę wyjść, a Mały został sam w strasznym, wielkim gabinecie z oszklonymi szafkami za którymi leżały narzędzia tortur. Wtedy usłyszał skrzyp ogromnej wielkiej szafy. Obluzowane drzwi lekko się uchyliły, a wewnątrz... Mały rozplakał się. Wisiały tam białe fartuchy, które śmiertelnie go przeraziły, bo każdy z nich wyglądał jak lekarz, który zaraz wyjdzie z półotwartej szafy i zacznie się nad nim znęcać.

Od tego czasu Mały nigdy nie był u lekarza. Stał i po raz setny sprawdzał numery na plakacie. Jego numer tam był. Jak wyrok, nieodwołalny.

Mały wpadł na pomysł. Przecież zrobił by wszystko by nie iść do lekarza. Zrobi coś kompletnie nielegalnego. Wtedy jako klona czeka go natychmiastowa dematerializacja. Co prawda wtedy pozna swój wzorzec Będzie musiał żyć z nim, w nim i jako on. Ale nawet to było by lepsze niż lekarz. Sam jako klon nie mógł pozbawić się życia. To Miasto go stworzyło, więc tylko ono mogło go zniszczyć. Zdeterminowany zaczął biec w kierunku najbliższej meliny w której kupował czasami mech. Znajomy sprzedawca był kompletnie zaskoczony, widząc jak jeden ze swoich klientów kupił tyle mchu, że ledwo mógł go unieść. Mały szybko wybiegł z bramy, stanął na środku ulicy i ostentacyjnie zaczął obżerać się zakazanym towarem. Między jednym kęsem a drugim histerycznie krzyczał.

- Jem mech !!! Naturalny, soczysty mech !!! Kupiłem go przed chwilą, a teraz jem! Mech, naturalny mech !!! - krzyczał tak ładnych parę minut kiedy poczuł uderzenie w tył głowy i zapadł w ciemność.

Powoli otworzył oczy. Leżał w jakimś rozwalonym samochodzie na tylnym siedzeniu. Przed sobą coraz wyraźniej widział twarz bezdomnego. Po chwili usłyszał również jego głos.

- No i co, wariacie. Co ja mam z tobą zrobić ?

- Zostaw mnie - krzyknął mały z płaczem - Ja nie chcę ! Chcę żeby mnie zdematerializowali ! Nie pójdę tam, tam jest taka szafa i...

" Zwariował " - pomyślał bezdomny - " Chyba za mocno go walnąłem. Teraz to już kompletnie nie mam pojęcia co z nim zrobić, dam mu pigułkę może to go uspokoi "

- Połknij to - powiedział do Małego, podając mu tabletkę D i kubek wody. - To ci pomoże - dodał łagodnie.

- Co to jest ? - spytał nerwowo Mały

- Lekarstwo, no weź - zachęcał bezdomny

- Coo ??? Nigdy, to od nich, białe fartuchy, nie dam ... - zaczął wrzeszczeć, więc przestraszony gospodarz wrzucił mu do ust pastylkę i wlał wodę. Mały wytrzeszczył oczy lecz za chwilę jego twarz przybrała wyraz błogiego spokoju.

Bezdomny opadł z ulgą na fotel. Spojrzał na przybysza, który nagle zaczął się zmniejszać. Bardzo szybko, aż w końcu znikł. - O, cholera ! - zaklął bezdomny -

To był klon ! Co ja narobiłem ? Teraz mnie dopadną !

Na siedzeniu zostało tylko niebieskie pudełko dwa-na-jeden-na-dwa, więc bezdomny wyrzucił je czym prędzej, by nie zostawić żadnych śladów i wyszedł szybko by zorganizować sobie jakieś alibi.

Mały obudził się. Na stole nadal leżał bocian, a blade światło latarni rzucało jego ogromny cień na ścianę. Mały patrzył chwilę w sufit i zastanawiał się co go obudziło. " Pewnie jakiś sen " - pomyślał. Po chwili przymknął powieki i zasnął. Pudełko dwa-na-jeden-na-dwa leżało obok samochodu. Ze szczeliny między płytami wysunęła się szara łapa która wbiła pazury w pudełko i bezszelestnie zniknęła pod ziemią.

SUPERMARKET

Blade światła jarzeniówek tworzyły nastrój bezruchu w ogromnym pomieszczeniu. Niektóre błyskały z cichym brzękiem. Towar leżący na półkach był trochę zakurzony, bo rzadko ktoś kupował. Ręce sprzedawców nie przebierały w produktach jak klienci. Sprzedawcy sami ładowali rzeczy do wózków, a one odjeżdżały.

Pieniądze nie były ważne. Miasto korzystając z żywotności wózków samo rozprawdzało towar, by Obywatele mogli je okradać do woli.

Na półkach leżały słoiki starego miodu, pleśniejących dżemów, puszki z napojami, różne zupy z proszku, przyprawy, kakao, chleb, słodycze i tak dalej. Hala była ogromna, a towarów w bród. Czasem przez jeden z setek korytarzy przejeżdżał wózek zostawiając ślad na zakurzonej podłodze i znów następowała cisza.

Sprzedawcy siedzący przy monitorach czytali gazety, rozwiązywali krzyżówki itp.. Większość była straszliwie znudzona. Stanowiska oddalone były od siebie o około 50 metrów, więc nie mogli nawet ze sobą rozmawiać. Niektórzy bawili się zgadując jakie towary będzie wiozł następny przejeżdżający wózek. Oczywiście pilnowali również, czy na monitorze nie pojawił się komunikat o zamówieniu. Wtedy wstawali, brali pusty nieżywy wózek, szli z nim wzdłuż półek i zapełniali go zamówionym towarem. Im wózek był bardziej pełny, tym trudniej było go zatrzymać w miejscu. Pełen odjeżdżał, sam odnajdując drogę do jednego z sześćdziesięciu wyjść. Jeździł po ulicach póki ktoś go nie zabił. Potem przychodziła po niego grupa Insektów i zabierała go do sklepu.

Właśnie na jednym z monitorów pojawiła się lista potrzebnych produktów.

Sprzedawca wziął jeden z wózków i poszedł w głąb hali. Nie spieszyło mu się, im dłużej będzie to robił, tym krócej będzie się nudził. Po załadowaniu ciastek, chleba i kilku tabliczek czekolady poszedł w kierunku półek z przetworami.

Sprzedawca uśmiechnął się, ta półka stała przy samej ścianie, więc czekał go długi spacer.

Szedł powoli, a wózek rodził się powoli cicho skrzypiąc. Mleczne i senne światło jarzeniówek sprawiało wrażenie mgły. Sprzedawca lubił to uczucie, czuł się osłonięty od całego świata, a to było bardzo przyjemne. Znalazł odpowiednią drogę i skręcił. Po lewej stronie ciągnęły się półki, a po prawej biała ściana z wyblakłymi plakatami reklamowymi. Sprzedawca sięgnął po słoik scukrzonego miodu i ruszył z powrotem.

Nagle usłyszał odgłos jakiegoś szurania. Od razu spojrzał na półki, ale nie zauważył nic szczególnego. Słoiki i butelki stały spokojnie, a migające światło jakiejś zepsutej jarzeniówki wprowadzało trochę życia. Przestraszony sprzedawca ruszył dalej, lecz szmer powtórzył się. Tym razem dochodził bardziej z tyłu.

Sprzedawca odszedł stamtąd by zawiadomić kumpli o tym odkryciu. Gdy oddalił się o spory kawałek ujrzał Toma, swojego kolegę z sąsiedniego stanowiska, jak szukał

czegoś na półkach.

- Czekaj Tom ! - krzyknął i zaczął pędzić w jego kierunku, a wózek czując tak dużą prędkość wyrwał się na wolność.

- Co się stało, Bob ? - spytał tamten.

- Choć ze mną Tom, przy sektorze 44 coś się dzieje.

- Dobra, opowiesz mi po drodze. - Tom zawsze był opanowany i umiał zachować się w każdej sytuacji, czego Bob mu zazdrościł.

- Słuchaj, brałem właśnie miód gdy dwa razy usłyszałem jakiś dziwny szmer, co to mogło być ?

- A nie był to czasem starter jarzeniówki ?

- No wiesz ? - obruszył się Bob. - Po tylu latach pracy tego dźwięku już się nie słyszy, nie to na pewno było coś innego, o to tutaj jeszcze dwa zakręty.

W tej chwili obydwójce usłyszeli głuchy odgłos przedmiotu spadającego na posadzkę, potem jakieś szuranie i zapadła cisza.

- Jarzeniówka, co ? - rzucił kpiąco Bob, ale głos mu lekko zadrżał.

- Szybko ! - rozkazał Tom i zaczęli biec.

Na miejscu zobaczyli roztrzaskany słoik dżemu i ślady biegnące do dziury w ścianie, której oczywiście nigdy tam nie było. Otwór miał jakieś pół metra średnicy, a ślady były długości połowy stopy Obywatela.

- No i co o tym myślisz ? - spytał Bob, gdy Tom pochylił się i zajrzał do dziury.

- Ktokolwiek to był, prędko nie wróci. - rzekł otrzepując dłonie z kurzu - Jama jest zawalona gruzem.

- Może go zasypało ?

- Kogo ? Bo kto to był, dziecko ?

- Sam nie wiem... Komu by zależało na okradaniu sklepu gdy po ulicach jeżdżą wózki i każdy może mieć co chce. - stali jeszcze dłuższą chwilę wpatrując się w dziwne ślady, ale nic mądrego nie przychodziło im do głowy.

- Dobra Bob, chodźmy już, musimy zawiadomić Miasto. Ruszyli z powrotem, a kurz wydzielany przez jarzeniówki powoli zaczął przykrywać ślady intruza.

DESZCZOWA BALLADA

Wszystko pada i wszystko przemija. Gdy wychylasz się przez okno widzisz to bardzo dokładnie. Sucha płyta chodnikowa na którą spadnie zaraz kilka kropel nigdy nie będzie podobna do żadnej innej, ani do siebie w przeszłości lub przyszłości. Nigdy. Deszcz wolno zaczyna zmieniać wszystko. W otwartym oknie jest dość przyjemnie. Pada. Kiedyś, po zdaniu matury ty i twoi koledzy rzucaliście z radości w górę marynarki, a gdy spadły na czyjąś głowę, śmialiście się. Teraz te mokre szmaty lecą w dół przejeżdżane przez samochody i wózki. A przecież spadały tak samo, może są mokre, ale to przecież te same marynarki. Inny czas i inne miejsce powodują, że... Gdy nawet nie miałeś tego okna, a jedynym wejściem do twojego domu był otwór w skale rozmawiałeś z innymi. Teraz te słowa ślizgają się po kablach telefonicznych. Ale to te same słowa, czy inne ? Z okna widać dzieci biegnące po ulicach i zbierające karmelki które z suchym trzaskiem spadają na asfalt. Małe zabawne istotki, gotowe zrobić wszystko, by zdobyć ukochane słodycze. Niektóre są mądrzejsze i szukają pod rynnami. Zjedzą więcej niż inne i będą znacznie mądrzejsze.

Pada. Tak zwyczajnie. Kolejna idea i kolejny pomnik. Pada, łyzy Boga rozbijają się na kantach dachów, krawężnikach i podłużnych głowach Obywateli. Można pomylić się co do Niego. W księgach w stolicy w Rzymie prawdopodobnie wiedzą

wszystko, ale ja myślę, że oni myślą, że wiedzą co robią. Kontrolują deszcze i upały. Wszystko toczy się mimo. Najpierw rodzi się jako awangarda i jest to sprawa bardzo elitarna. Gdy już wychodzi z podziemia to wtedy jest najlepszy okres dla tego. Wszyscy to lubią i jest OK. Ale od razu rodzi się ruch przeciwko i schodzi do zwolnionej właśnie przestrzeni. A tamten, gdy pokona opór babę i mam, czy nawet nie, wskakuje w media. Programy telewizyjne i czasopisma o tym. A gdy wszyscy są znudzeni, to co dotychczas było w podziemiu wychodzi, a tamto przechodzi do tzw. klasyki, a podziemie jest gotowa na następną ideę. Pada. Wszystko płynie. Cały świat przeszedł przez cyberprzestrzeń i przeobrażając się stworzył nową jakość. Z dziką i nieznaną dotąd siłą rozwinął się jednocześnie we wszystkich kierunkach, nie tylko do przodu, co jest ewenementem w odniesieniu do innych nieznanych nam światów. Co nie mogło być, było, będzie lub być powinno, a to, co było, to może naprawdę było.

Strumienie wody leją się z dziurawych rynien, czasami karmelki zatykają dziury, lecz po chwili rozpuszczają się na tyle, by wlecieć prosto do otwartej buźki jakiegoś dzieciaka. Na ulice wylewają się lalki, zabawki, szachy, piłki, dmuchane krokodyle i tysiące innych zabawnych przedmiotów. Rozpoczyna się defilada. Maszerują zgodnie i szczęśliwie. Uśmiechy mają jakże inne niż prezenterzy telewizyjni. Defilada przechodzi pod twoim domem i rzuca ci w twarz, soczyste, słodkie i wesołe nutki od których serce wyrywa się z piersi, a w głębi odczuwa się niesamowity ból i żal, a jednocześnie szczęście pełne jakiejś straszliwie gorzkiej słodyczy.

Wszystko pada i wszystko przemija. Gdy wychylasz się przez okno widzisz to bardzo dokładnie. Sucha płyta chodnikowa na którą spadnie zaraz kilka kropel nigdy nie będzie podobna, takie samo zdanie, co na początku ? Spójrz zatem na numer strony, a jeśli jeszcze się nie przekonałeś to puść je przez telefon lub internet. Wtedy będzie inne, na tyle inne ile osób mogło je przeczytać plus piętnaście. Dlaczego piętnaście ? Udowodnij, że tak nie jest.

CARRIE

Zawsze była stuknięta. Mała dziewczynka z T-przystanku. Porzucona przez matkę, wychowana przez tramwajarza nie miała rodziny, ale była wesoła. Ubierała się dziwnie i chodziła do parku. Szkielety drzew straszyły wszystkich, a ją bawiły. Widziała w nich wiecznie zielone drzewa, białe jabłonki i strzeliste sosny sięgające gór. Wszyscy widzieli tylko wieżowce, a w jej pięknych oczach to były góry. Często też chodziła na wyprawy. Spała na półkach skalnych albo polankach. Szczyty były na wysokości sto któregoś piętra. Potem wracała. Od pewnego czasu nie chodziła już tak wysoko, bo odkryła że na dole jest ciekawiej. Obywatele jak dzikie zwierzęta były ładne i spokojne. Pisała do nich listy żeby było im przyjemnie. Spodobał się jej pewien Strażnik z sąsiedniej krainy. Był przystojny, a Carrie właśnie stawiała się kobietą i pomyślała, że warto było by mieć z nim dzieci. Mieszkała by z nim, a on zarabiał by na utrzymanie ich wszystkich, a ona czekała by na niego cały dzień. Teraz ubrała się dla niego jak najładniej umiała. W swej błękitnej sukience wolnym krokiem szła w stronę skrzynki pocztowej. Cekał. Był bardziej wyraźny, ale też o wiele bardziej nieśmiały niż przedtem. Strasznie się jej podobał.

- Przyszłaś. - powiedział Stone - Bardzo się cieszę.

- Ja również, Strażniku - odpowiedziała z uśmiechem - Chodźmy do parku, pokażę ci moje drzewa.

- Dobrze, chodźmy.

Minęli kilka ulic w milczeniu. Stone chciał cokolwiek powiedzieć, ale nie mógł.

Coś mu mówiło, że to jest niepotrzebne. Wystarczy, że jest. Wreszcie doszli do parku, a Carrie spytała.

- Widzisz tę piękną zieleń ? - powiedziała. Spojrzała na Strażnika. Naprawdę bardzo chciała, żeby zobaczył to, co ona. Stone patrzył na uschłe, martwe drzewa i milczał. Po chwili jednak pojawiły się pąki z których momentalnie wystrzeliły liście. Był zachwycony.

- Tak ! Ależ... to piękne !!! - wykrzyknął. - Idziemy na tamtą polanę, dobrze ?

- Tak, tak idziemy - krzyknęła szczęśliwa Carrie. - Tylko mnie złap, Strażniku !

- Dobra, ale jak cię złapię, to będziesz mi mówić Stone, dobrze ?

Zaczęli biegać po parku. Spędzili tam razem parę godzin . Biegali, a czasem dla odpoczynku siadali razem i słuchali śpiewu ptaków i wspólnie milczeli. A przecież bardzo trudno jest wspólnie milczeć. Wreszcie nadszedł czas rozstania.

- Przyjdiesz Stone, przyjdiesz za tydzień, prawda ? - dopytywała się Carrie.

- Oczywiście. Tylko nie mogę za często brać tych tabletek, ale za parę tygodni zniknę stamtąd zupełnie. Wiesz, znalazłem dilerę, teraz będzie mi łatwiej. - mówił do niej, a ona wszystko rozumiała. Wiedziała wszystko i Stone uważał, że to bardzo naturalne. Przyjdzie do niej za tydzień, bardziej wyraźny.

- Na razie, Carrie ! - pożegnał się.

McFly wstał z krzesła i skierował się do wyjścia, a Stone usiadł z uśmiechem przed telewizorem i naprawdę nie obchodziło go, czy Fly zauważył, że jego partner jest coraz mniejszy.

PRZESŁUCHANIE

Mały kończył się pakować. Zasznurował plecak i zamierzał wyjść. Jednak zawrócił i wziął bociana. W nowym miejscu też mógł się przydać. Włączył telewizor i lekko rozchylił zasłony, by mieszkanie sprawiało wrażenie zamieszkanego. Zamknął drzwi i szedł po schodach w dół.

Otworzył drzwi od klatki i ruszył w kierunku metra. Za rogiem odwrócił się i po raz ostatni spojrzał na ulicę na której się wychował. Po chwili ruszył dalej.

Znów rozpoczynał się świt, więc prawie wszyscy mijani Obywatele wpatrzeni byli w niebo. Doszedł do stacji spojrzał w górę i szedł w dół.

Na peronie było parę osób, wsiadł do pociągu. Wewnątrz tylko kilka miejsc było zajętych, więc usiadł. Pociąg turkotał sennie i miarowo, więc Mały z nudów zaczął obserwować twarze Obywateli. Wydały mu się strasznie tępe i wyrażały to samo. Brak myśli i pragnień. Niektórzy czytali gazety. "Ale dno" - pomyślał - "Wszyscy oni są identyczni, te same twarze, ta sama bezmyślność, co za dno" - pomyślał znów. Zastanowił się czy jego twarz też jest taka. Spojrzał na lustro wiszące koło okna i zobaczył żywe oczy i zamyśloną twarz. Tak, zdawał sobie sprawę, że różni się od przeciętnego Obywatela. Znowu pomyślał, że warto było pogadać z kimś podobnym do niego.

Drzwi do przedziału otworzyły się i weszła grupa Strażników. "Bilety do kontroli" - powiedział ten, co stał w środku. Wszyscy pasażerowie automatycznymi ruchami wyciągnęli bilety. Mały również. Gdy Strażnik sprawdzał jego bilet, spojrzał mu uważnie w twarz, po czym wyjął gruby zeszyt i zaczął go kartkować. Mały zaniepokoił się, czy Miasto wiedziało już o jego przeprowadzce ? Może należało o tym Je zawiadomić. Uniknął by wtedy tej kontroli. Ale przecież mógł jechać do Centrum w jakiegokolwiek innej sprawie, więc raczej Strażnikom chodziło o coś innego. Ale o co ?

- Obywatel MA-3022 ? - spytał Strażnik.

- Tak - odpowiedział Mały.

- Pójdzie pan z nami - powiedział Strażnik, a pozostała dwójka otoczyła go. Widząc strach w oczach Małego, Strażnik powiedział. - Chodzi o przesłuchanie, proszę nie stawiać oporu.

Na najbliższej stacji wysiedli, i poprowadzili go na posterunek. "Czego mogą ode mnie chcieć" - myślał Mały. Zaczął szukać w pamięci czy nie popełnił żadnego przestępstwa. Żadna z melin, której kupował mech nie wpadła, więc to odpadało. Może chodziło o wózki? Nie, to robił każdy kto chciał, więc też nie. Samego przesłuchania nie obawiał się, bo nie było ono groźne. Strażnicy zakładali przesłuchiwanemu hełm połączony z maszyną, która nie pozwalała kłamać. Skrzypnęły drzwi i znaleźli się na komisariacie. Oficer, który przesłuchiwał Małego miał twarz zbitego psa.

- Zaczynamy - powiedział - Numer Obywatela?

- MA-3022.

- Miejsce zamieszkania?

- Peryferia D-255.

- Ulubiony kolor?

- Zielony.

- Rodzice?

- Umarli w trakcie zarazy, osiem lat temu.

- Cel wyjazdu do Centrum?

- Zmiana mieszkania.

- Czy wiecie, że macie swego kłona?

- Tak, Miasto poinformowało mnie o tym.

- Co o nim wiecie?

- Nic, wiem tylko, że jest.

- To wszystko, dziękuję wam, możecie iść.

Jakiś Strażnik zdjął hełm z głowy Małego i odprowadził go do wyjścia. Mały oparł się o mur, wyciągnął papierosa i zapalił. "Ciekawe o co im chodziło z tym klonem, pewnie coś narozrabiał. Chodziło im nie o mnie, lecz o niego. Jakoś dziwne to wszystko" - pomyślał i poszedł w kierunku stacji.

Zadzwoił telefon, słuchawkę podniósł oficer, który przesłuchiwał Małego.

- Tak, właśnie go przesłuchaliśmy. Nie, nic nie wie o jego zniknięciu, musimy szukać dalej. - odłożył słuchawkę. Od kilku dni trwały poszukiwania pudełka dwa-na-jeden-na-dwa kłona MAX-3022. Było to dziwne, bo nawet jeśli klon nie istniał, to pudełka nie dało się zniszczyć. Nikt też nie mógł go ukraść, bo każdy ma własne. Oficer poprawił się na krześle, usłyszał pukanie do drzwi.

- Wejść! - powiedział.

Do gabinetu wszedł jeden ze strażników.

- Melduję, że nasz podsłuch wykrył sygnały pochodzące z kwadratu DE- 318, długość fal odpowiada pudełku szukanego insekta MAX-3022.

- Dziękuję wam, możecie odejść.

Gdy strażnik wyszedł, oficer uśmiechnął się i podszedł do mapy. "No, nareszcie coś nowego, musieli go przeoczyć, pewnie leży gdzieś wśród rupieci, a klon nie żyje" - pomyślał i wetknął chorągiewkę w odpowiedni kwadrat. Po chwili wrócił do biurka by zadzwonić po grupę zwiadowczą. Jednak przedtem spojrzął na raporty i postanowił je przejrzeć. Dwa pierwsze donosiły o melinach ze sztucznym mchem, więc oficer od razu wyrzucił je do kosza. Ale dwa następne... Oficer przejrzął je kilkakrotnie i stwierdził ze zdumieniem, że obydwa traktują o pudełku szukanego od dawna insekta. Z tym, że numery namierzonych kwadratów były zupełnie inne niż te podane mu przed chwilą. Szybko podszedł do mapy. Wskazane

kwadraty leżały dość daleko od siebie. " Boże, przecież to tak wygląda jakby ktoś dalej chodził z tym pudełkiem, ale jak to możliwe... Ktoś, lub coś chodzi z tym pudełkiem, to nie może być klon, za dokładnie go szukaliśmy, mam nadzieję że jakoś to się wyjaśni". Zdumiony i przestraszony oficer zadzwonił po grupę zwiadowczą.

Oficer był dobrej myśli, sprawa miała się wkrótce wyjaśnić. Gdyby jednak tylko wiedział w jaki sposób...

JESTEŚMY TU TYLKO PRZELOTEM

Świątynia Złego stała kilka przecznic od niedawno opuszczonego mieszkania Małego. W samym Mieście było ich kilkadziesiąt. Świątynie z czerwonej cegły o skomplikowanej budowie z mnóstwem wieżyczek i dzwonnicy gromadziły w czasie mszy sporo wiernych. Oddechy i kroki spieszących w kierunku ławek Obywateli zwielokrotnione echem, tworzyły nastrój podniosłości i powagi. Gdy wszyscy już zajęli swoje miejsca przed ołtarz w kształcie telewizora wyszedł kapłan. Zaczęła się msza, zabrzmiał jego hipnotyzujący głos.

- Pochwalone na wieki nasze Miasto. Módlmy się, aby każda istota na świecie mogła dostąpić zaszczytu zamieszkania w Nim. Pochwalone jego ulice, po których dane jest nam chodzić, pochwalone jego mieszkania dające nam schronienie.

Pochwaleni prawi Obywatele którzy jako jedyni dostąpią życia wiecznego. Chwała Miastu !!!

- Chwała !!! - rozległo się po świątyni.

- Zanim wzniesiemy kielichy ze Świętym Napojem zdajmy sobie sprawę, jakże mało znaczymy wobec Jego potęgi. Chwała Miastu !

- Chwała !!! - powtórnie rozległ się głos wiernych.

- Zatem oczyszczeni z nieprawych myśli, wzniesmy nasze kielichy i z czcią wypijmy Święty Napój !!!

To powiedziawszy kapłan chwycił w dłoń kielich, a reszta wiernych uczyniła to samo. Gdy wszyscy wypili, oczy kapłana zaczęły płonąć, a jego głos po części obrazował, a po części tworzył wizje powstające w głowach wiernych. Głos kapłana grzmiał tak, że miało się wrażenie, że dochodzi z każdego zakamarka świątyni.

- Jakże mali jesteśmy w obliczu Miasta i jego narzędzi, spójrzcie na swe mieszkania i telewizory, czyż ekrany nie przerastają was kilkakrotnie ? Jesteśmy śmiesznie mali, tak mali że możemy utopić się w puszcze coli. Uważajcie na ulicę, co będzie jeżeli wiatr posłuszny Miastu uderzy w was jakimś opakowaniem ? Albo gdy wpadniecie na ulicę strzeżcie się łoskotu ogromnego wózka wiozącego pożywienie. Pomyślcie wtedy, jaką nieograniczoną władzę ma nad wami Miasto.

W umysłach przerażonych Obywateli zapanowała panika, prawie wszyscy leżeli na posadzce błagając o litość, kapłan kontynuował już nieco spokojniej.

- Co byśmy zrobili, o nieszczęśni, bez telewizji, bylibyśmy głusi i ślepi, nie dostrzegalibyśmy wspaniałości Miasta. Podziękujmy zatem Jemu i prosimy o spokojne i dostatnie życie w Nim !!!

Gorące, fanatyczne okrzyki wiernych długo rozbrzmiewały po świątyni. "Chwała Miastu, chwała Mu !!!" słyszał kapłan który wszedł do pomieszczenia obok ołtarza. Był zadowolony, msza się udała. Miał trochę czasu dla siebie. Minie ładnych parę chwil zanim przestaną działać tabletki D rozpuszczone w Świętym Napoju.

Carrie patrzyła na wiernych. Zszokowana, a jednak trochę rozbawiona tym co widziała. Sama piła Święty Napój, ale z nią nic się nie stało. Nie wiedziała tylko czemu tabletki D tak różnie działały na Insekty. Tak narkotyczne na wiernych, a tak inaczej na nią. No i to przecież dzięki nim jej ukochany Stone

niedługo z nią zamieszka. Pomyślała dłuższą chwilę i już wiedziała. W świątyni nie było już nic interesującego więc wybiegła na zewnątrz. Pomyślała jeszcze że to śmieszne, że z

powodu tak bzdurnej gadki kapłana można zacząć świrować. Wiedziała jednak, że Świątynia Złego to jeszcze jeden sztuczny wytwór Miasta, sztucznego wytworu człowieka więc to nic groźnego.

Postanowiła pójść na Słoneczną Polanę i trochę porysować bo słońce świeciło tego dnia bardzo jasno. Jej rysunki były proste, ale ładne. Przedstawiały kolorowe budynki z których wyrastały drzewa, ulice jak wesołe i niebieskie rzeki, mrówki-Obywatele i inne rzeczy. Carrie dużo wiedziała, ale nie to, że jej rysunki są prorocze.

Przeszła kilka ulic i skręciła w następną leśną drogę która prowadziła prosto do klatki schodowej. Słoneczna Polana była tuż obok szczytu, na południowym stoku wieżowca. Schody nie były strome, ale na wysokości czterdziestego pietra poczuła zmęczenie. Usiadła więc nad strumyczkiem, napiła lodowatej górskiej wody i wystawiła swą piegowatą twarzyczkę w stronę słońca. Gdy trochę odpoczęła, zakręciła kran i ruszyła dalej. Dalsze podejście było już łatwiejsze, miły cień który dawały drzewa i ta cisza na korytarzu była bardzo przyjemna. Nagle jej oczom ukazał się dobrze znany zakręt. Otworzyła okno i usiadła w samym środku Słonecznej Polany, w swym ulubionym miejscu.

Otworzyła blok rysunkowy i wyciągnęła kredki. Rysowanie pochłonęło ją całkowicie. Nie słyszała śpiewu ptaków ani szumu wind, a obok niej rosła sterta rysunków. Narysowała już wszystko, został jej tylko jeden budynek do pokolorowania. Rysowała jak w transie. Spojrzała na kartkę i przestraszyła się. Na środku widniał bowiem rysunek bardzo dziwnego stworzenia. Był to człowiek. Postać człowieka, prawie naga wyróżniała się tym, że miała skrzydła. Zwyczajne anielskie skrzydła. Po jego lewym policzku spływała łza narysowana tak realistycznie, że nie mogła jej sama narysować. Przyglądała się rysunkowi dłuższą chwilę. Po jakimś czasie zobaczyła na nim cień. Spojrzała w górę, gdzie na tle jasnego błękitnego nieba krążył ptak. Patrzyła się z uwagą na niego i poczuła, jakby chciał jej coś powiedzieć. JESTESMY TU TYLKO PRZELOTEM zadźwięczało jej w głowie pośród kompletnej ciszy na polanie. Słońce zaczęło zachodzić a ptak odleciał za horyzont.

SZCZUR

Bezdomny czuł że coś się dzieje. Nocą czasem budził się z niepokojem i nasłuchiwał. W Mieście coś się działo, Obywatele jakby się czegoś bali, od czasu do czasu wydawało mu się także, że ziemia lekko drży. Ale to wszystko było tak słabo wyczuwalne, że nie wiedział czy tak jest naprawdę, czy to Coś było wytworem jego bujnej wyobraźni. Pewnej nocy obudził się i już nie mógł zasnąć. Zjadł trochę mchu i postanowił się przejść. Ulice były takie, jak zawsze. Było spokojnie i cicho. Przejechał tylko jakiś nocny tramwaj i to był jedyny hałas, który na moment zakłócił sen Miasta. Bezdomny szedł spokojnie i palił papierosa. Nie myślał o czymś szczególnym, po prostu nie mógł zasnąć. Odkrył, że cisza zaczyna go męczyć. Jego dzielnica była na peryferiach Miasta i nic się tam nie działo. Odpowiadało mu takie życie, ale teraz cisza go denerwowała. Nerwowo zgasił papierosa i wrócił do swojego samochodu.

Odgłos nóg biegnących po asfalcie zabrzmiał jak wystrzał. Przed Bezdomnym stał machając ogonem szczur i wpatrywał się mu prosto w oczy. Bezdomny przestraszył się i stanął w miejscu. Wtedy szczur podbiegł do niego i ugryzł go w kostkę. Bezdomny krzyknął z bólu i zaczął uciekać. Szczur gonił go z przerażającą

nieustępliwością. Zdyszany Bezdomny co chwila odwracał głowę i za każdym razem stwierdzał, że szczur nadal za nim jest. Nagle Insekt potknął się i upadł na dno jakiegoś dołu i stracił przytomność.

Nie wiedział ile czasu upłynęło od chwili, gdy przydarzyła mu się ta niesamowita historia. Powoli podnosił się, sprawdzając czy jest cały. Znajdował się w piwnicy. Było ciemno i wilgotno. Gdy uważnie rozejrzał się po pomieszczeniu stwierdził, że wpadł do niego przez okienko wychodzące na ulicę. Tylko że teraz było zamknięte, poza tym piwnica była wysoka, i do okienka nie mógł się wdrapać. Zaczął wołać o pomoc, ale odpowiadała mu tylko cisza.

WODA

Jakiś czas przedtem Mały spacerował po centrum. Podobało mu się. Światła, więcej sklepów i Obywateli na ulicach. Tramwaje i autobusy jeździły często, słowem było tu ciekawiej niż w tam, skąd przyjechał. Patrzył na słupy ogłoszeniowe w poszukiwaniu oferty mieszkania. Zapisywał numery domów, ale na razie nigdzie nie szedł, postanowił trochę pospacerować jako nietutejszy po ciekawym świecie.

Insekty chodziły spokojnie i jednostajnie. W barach przy piwie siedziała młodzież. Mały ze zdziwieniem stwierdził, że jest tutaj ruch, ale wszystko wydaje się mniej nerwowe. Spodobało mu się tutaj, nie czuł żadnego przygnębienia, tylko radość i chęć do życia. Czuł, że może utożsamić się z tłumem i nie zastanawiać się jak to naprawdę jest z Miastem. Po prostu - żyć chwilą. Postanowił iść na piwo. Zobaczył pub i wychodzący na ulicę, ogrodzony, na środku każdego stolika był różnokolorowy parasol. Podeszedł do stolika, przy którym siedziało już dwóch Obywateli.

- Przepraszam, czy mógłbym się przysiąść ? - spytał.

- Nie ma sprawy - odpowiedział Insekt. - Będzie weselej.

I tak siedzieli w trójkę dwie godziny. Pili piwo i gadali o tych wszystkich ważnych nieważnych sprawach, o których należy rozmawiać, gdy się pije piwo. Po ulicy jeździły samochody, wózki i autobusy, przelewał się tłum Obywateli, a oni siedzieli i pili piwo.

Gdy Mały pożegnał sympatycznych rozmówców, tłum zaczynał maleć, zbliżała się pora spoczynku. Lekko szumiało mu w głowie, gdy szedł pod pierwszy z numerów które spisał na kartce. Dom na szczęście był niedaleko. Siedemnastopiętrowiec na jednym z licznych osiedli. Wjechał windą na dziesiąte piętro i zapukał do drzwi.

Otworzyła mu niewysoka staruszka.

- Dobry wieczór pani. - zaczął. - Ja w sprawie mieszkania.

- O, proszę wejść młody człowieku - staruszka wyraźnie cieszyła się, że ktoś odpowiedział na ofertę. - Może herbaty ?

- Z przyjemnością - odpowiedział Mały.

Rozmowa toczyła się przyjemnie, ustalili że Mały zamieszka tu od dziś, a staruszka wyprowadzi się za kilka dni do swego syna, który mieszkał z żoną. Wyjaśniła mu, że sprzedaje mieszkanie, bo potrzebują pieniędzy na nowy samochód. Małemu spodobało się to mieszkanie, od razu poczuł się jak u siebie. Pomógł staruszce uprzątnąć stół, przygotować kolację a potem jeszcze poszedł wyrzucić śmieci do zsypu. Wyszedł na schody, odnalazł zsyp i wrzucił do niego worek ze śmieciami. Gdy wracał, usłyszał jak worek upada na dno. W tej samej chwili usłyszał także inny, niesamowity dźwięk. Jakby piszczenie setek szczurów. Zastanowił się i pomyślał, że pewnie trafił w kilka żerujących gryzoni, a komin zsypany po prostu zwieliokrotnił odgłos.

Wrócił do domu. Zachowywał się cicho, bo staruszka poszła spać. Mały rozłożył swoje rzeczy w swoim pokoju i poszedł do łazienki. Nalał wody do wanny i położył

się w niej wygodnie przymykając lekko oczy.

Chyba się trochę zdrzemnął, gdy obudził go jakiś głośny łoskot. Zerwał się przestraszony i ujrzał że z otworu wentylacyjnego z przeraźliwie głośnym szumem leci strumień wody. Chciał wyskoczyć z wanny, lecz uczynił to zbyt gwałtownie i poślizgnął się. Tyłem głowy uderzył o krawędź wanny i stracił przytomność.

Przedtem zdążył zobaczyć dwa szczury, które popiskując usiłowały utrzymać się na powierzchni.

MIASTO

Carrie wiedziała co ma się stać i z niepokojem czekała na Stone'a. Przy umówionej skrzynce stała i nerwowo obgryzała paznokcie. Chciał zabrać go na Słoneczną Polanę, by wszystko mogli dokładnie widzieć. Wiedziała, że nadejdą wielkie zmiany. Chciała po prostu obserwować wszystko z ukochanym. Wreszcie przyszedł. Przywitała go.

- Cześć, Stone. Mam dla ciebie niespodziankę.

- Naprawdę ? Ale...

- O nic nie pytaj tylko idź za mną. Musimy się pospieszyć.

- Idę moja kochana, zwariowana Carrie - roześmiał się Stone.

Poszli. Carrie prowadziła go za rękę. Mijali przecznicę za przecznicą, ale mało się odzywali, Carrie sprawiała wrażenie szczególnie przejętej, a Stone śmiał się i szedł dalej. Nagle ziemia zatrzęsała im się pod nogami, głośny huk, i asfalt na ulicy pękł. Stone przestraszył się, ale nie tracąc humoru spytał Carrie, czy to ma być ta niespodzianka.

- Żebyś wiedział, kochany, ale musimy się pospieszyć, bo nie będzie nam tak wesoło.

To już zabrzmiało groźnie, ale Stone wiedział, że Carrie lubi być tajemnicza więc pobiegł za nią.

- No nareszcie, tu jesteśmy bezpieczni. - powiedziała Carrie gdy wbiegli do jakiegoś bloku. - A teraz na czterdzieste czwarte piętro.

- Jak sobie życzysz, moja królewno, męcząca ta niespodzianka, ale niech ci będzie, ha ,ha - Stone śmiał się biegnąc po schodach za Carrie. Z dołu słyszał jakieś dziwne dźwięki, wybuchy, ale wieżowiec w którym biegli stał spokojnie. Stone ufał Carrie tak, że nie bał się niczego.

- No nareszcie. Otwórz okno Stone, nie mam siły. - powiedziała Carrie i dysząc oparła się o ścianę. Gdy Stone otworzył okno, wyszli na balkon.

- Teraz patrz. -powiedziała do Stone'a gdy usiedli. Wyjęła lornetkę, a drugą dała jemu.

Trwało coś na kształt trzęsienia Ziemi. Domy przewracały się, chociaż niektóre, takie jak ten w którym siedzieli stały nieruchomo. Na ulicach trwała panika. Z tej ogromnej wysokości widać było duży obszar Miasta. Sklepy, puby, samochody, wszystko było zasypywane gruzem lecącym z góry. Ulice były popękane, buchał z nich ogień. Biegający po ulicach Strażnicy starali się ratować wszystkich, ale byli bezradni. Insekty przerażone biegały po ulicach, noc pełna była odgłosów krzyków umierających, sygnałów karetek i straży pożarnej. Przerażone twarze Obywateli zabarwione krwawym blaskiem pożarów wyglądały upiornie w tej nocnej apokalipsie. Nagle błąd ze strachu Stone zauważył coś jeszcze bardziej szokującego. Coś jak szary dywan wydobywało się z pęknięć w ulicach i piwnic zburzonych domów.

- Co tto Carrie, tam... - spytał drżącym głosem.

- Gdzie ? A tam. To szczury, wiesz teraz ich kolej. - starała się mówić

spokojnie, ale ten widok też wywarł na niej wrażenie

- Ich kolej na co ? - spytał rozpaczliwie Stone. - W ogóle co to jest ? To ma być niespodzianka ? Skąd wiedziałas, że to będzie akurat teraz ?

Carrie przytuliła Stone'a do piersi i zaczęła go głaskać po głowie jak dziecko.

- Moje małenstwo, taki duży chłopczyk, a płacze. Jeszcze nie wiesz, przepraszam powinnam ci powiedzieć, ale to co teraz widzimy to wcale nie jest takie złe. Sam się o tym przekonasz. Pamiętasz, jak często w parku widzieliśmy te wszystkie drzewa, kwiaty i inne wspaniałe rzeczy ? To niedługo będzie dla wszystkich. Oczywiście dla tych, co przeżyją. Jak na przykład my.

Stone spokojniej już spytał.

- Dlaczego nasz wieżowiec stoi spokojnie ?

- Bo tutaj naprawdę jest góra. Góra, na której znajduje się Słoneczna Polana.

LUDZIE SĄ GŁUPI

W piwnicy dalej było wilgotno. Zrezygowany Bezdomny pogrążony w kompletnych ciemnościach był już strasznie głodny. Nikt nie usłyszał jego wołania o pomoc, a na dodatek potem rozpętało się to piekło. Trzęsienie Ziemi, odgłosy wybuchów, płacze Obywateli. Bezdomny miotał się wtedy przerażony po swym więzieniu i wył z rozpacz. Potem, gdy wszystko się skończyło cieszył się, że jego więzienie ochroniło go przed śmiercią. Później zaczął sprawdzać, czy wstrząsy nie odsłoniły jakiegoś wyjścia na zewnątrz. Nie odsłoniły. Więc usiadł. Siedział niesamowicie długi czas, myślał że od tego zwariuje. Co chwila budził się i nasłuchiwał. Był półprzytomny. Przed oczami miał ciemność. Dobrze że z góry, nie wiadomo skąd kapała woda, bo inaczej umarł by z pragnienia. Po którymś tam przebudzeniu zaczęło mu się wydawać, że słyszy coś jak szum rzeki. Wziął to za majaki. Gdy stwierdził, że już dłużej tego nie wytrzyma, podjął ostatnią desperacką próbę wydostania się na świat. Wziął rozpęd i z całej siły, jakiej tylko jeszcze miał napał ramieniem na ścianę. Usłyszał cichy chrzęst i poczuł, jakby ściana lekko się poruszyła. To dodało mu niesamowitej siły. Zaczął uderzać raz po raz i zawsze ściana przesuwiała się troszeczkę. Wreszcie poczuł na twarzy świeże wilgotne powietrze. przesunął więc ścianę jak najsilniej i wypchał ją na zewnątrz. Ściana, która okazała się być głazem z pluskiem wpadła do rzeki. Bezdomny ze zdumienia stał dłuższą chwilę w bezruchu. Nie wierzył w to co widzi. Nad sobą miał rozgwieżdżone piękne niebo. Księżyc świecił tak jasno, że bezdomny musiał mrużyć oczy. Stał przed otworem jaskini. Przed nim szerokim łukiem płynęła rzeka. Za nią znajdował się las. Duży bezpieczny, pachnący las. Była to najpiękniejsza noc, jaką kiedykolwiek widział. Wszedł do cicho szumiącej rzeki, była płytka, a księżyc pluskał swym odbiciem po falach. Bezdomny był zachwycony. Doszedł na drugą stronę, przedarł się przez trzciny i wszedł do lasu. Pięknie pachniało. Wśród całej gamy zapachów wyczuł również zapach jagód. Rzucił się na ziemię i zaczął jeść. Gdy spojrział na swe ręce, zauważył że jest CZŁOWIEKIEM, ale nic już nie było go w stanie zdziwić. Gdy najadł się do syta, zmęczony i szczęśliwy usnął pod drzewem, a ptaki, które budziły się przed świtem zaczęły mu śpiewać do snu.

Mały odzyskał przytomność, gdy tylko woda zatkała mu usta i zakrztusił się.

Odbił się od dna i popłynął w górę. Gdy znalazł się na powierzchni, ze zdumienia o mało nie utopił się po raz drugi. Był w jeziorze. Nad nim było piękne błękitne niebo, świeciło poranne słońce. Resztki piwa szumiącego mu jeszcze w głowie natychmiast wyparowały i kompletnie otrzeźwiały. Wyszedł na brzeg. Było ciepło, wiał lekki przyjemny letni wietrzyk, a łąka pachniała niesamowicie. Wszedł dalej

i jakoś tak powoli przestawał się dziwić. Nie wiedział czemu, ale przestawał. Z pobliskiego lasu wyszła para zakochanych i pomachała do niego.

- Hej, człowieku - wołała Carrie. - Chodź do nas, pójdziemy razem.

I Mały ruszył w ich kierunku.

Szli, szli wszyscy Obywatele, którzy ocaleli. Szli po dziewiczej bezludnej krainie. Po lasach i łąkach nie skażonych jeszcze ręką człowieka. Wszyscy instynktownie szli w kierunku Wzgórza, na którym On miał zdecydować o ich losie. Szli Carrie i Stone, Mały, Bezdomni, Strażnicy, wszyscy, którym nigdzie pisane było ocaleć. Kapłan prowadził pielgrzymkę Wiernych śpiewających radosne pieśni, o tym że oto zbliżają się do krainy wiecznej szczęśliwości. Byli szczęśliwi, że za ich ziemskie życie spotkała ich taka nagroda. Nie brali pod uwagę tego, że wśród tych którzy zginęli było tyle samo wierzących ile niewierzących, ale może to i dobrze. Może niech tak zostanie i nikt im tego nie mówi.

Wokół wzgórza rozłożyli się ludzie, nocą płonęły ogniska. Ludzie rozpoznawali swych znajomych i cieszyli się tańcząc i śpiewając przy ogniu. W dzień mężczyźni szli na polowania, a kobiety przy ogniu pilnowały dzieci. Po kilku dniach, gdy nastąpiła pełnia księżyca, a ryba w jeziorze przemówiła po trzykroć do świętego węgorza w języku południowoamerykańskim i żaba wykumkała w alfabecie Morse'a nazwę pewnej rośliny kwitnącej tylko o pół do czwartej w trzeci piątek każdego miesiąca, gdy to się stało na szczycie wzgórza w samo południe pojawił się On. Wszyscy zastygli w bezruchu i w napięciu patrzyli na jego postać. Na Niego, który był Wszystkim. Zdawało się, że nawet ptaki przestały śpiewać, a drzewa szumieć. Miał się rozstrzygnąć los wszystkich. Mały stał jak zahipnotyzowany. Obok nich trzymając się za ręce stali Carrie i Stone. Stone był blady, a Carrie lekko się uśmiechała. Wszyscy wierni klęczeli. Tym czasem On przewrócił w rękę klepsydrę i powiedział.

- CAŁY CZAS JESZCZE RAZ.

A więc jednak. Znów zaoorają ziemię i zbudują osady. Stworzą klasy panujących i poddanych. Posadzą drzewo, zbudują dom, spłodzą synów. Wymyślą niewolnictwo i pieniądze, koło i łuki. Religię i naukę. Edukację, prawo i kulturę. Wojny, czołgi i samoloty. Telefon, żarówkę, radio i telewizję, podatki, gumę do żucia, bombę jądrową, zupki w proszku, agrałki, sztucce, benzynę, komputery i miliony innych bzdur.

Na pewno są szczęśliwi. Stone i Carrie, czy jak kto woli Adam i Ewa trzymali się za ręce i patrzyli w słońce.